

## Nasz rejs...



Tu wśród fiordów Islas de los Estados jedynym śladem człowieka najczęściej jest... śmierć



Uliczki w Ushuaia, najdalej na południe położonym mieście świata



# GDZIE JEDYNYM ŚLADEM CZŁOWIEKA JEST ŚMIERĆ...

(CZĘŚĆ DRUGA)

Nie tylko klimat i morze są tutaj nieprzyjazne człowiekowi. Już podczas pierwszej, rozpoznawczej wspinaczki na wzgórza w zatoce Capitano Canepa, na własnej skórze przekonaliśmy się, jak wyczerpujący potrafi być marsz po podmokłych, torfowych bagniskach, przez dzikie i splątane zarośla subantarktycznych, wiecznie zielonych niby-buków, magnoliowców, berberysu czy krzewów calafate.

Andrzej Radomiński

Wskutek ogromnej wilgotności klimatu przegniłe rośliny są tu nierozdzielnie splątane z żywymi, tworząc grząski, nierzadko po pas lub bardziej głęboki kobierzec... Strome ściany rozpadlin i wąwozów bardzo często pokryte są warstwą mchów i porostów. Stają się więc potwornie śliskie, a przez swe pochylenie śmiertelnie niebezpieczne. Jakże łatwo wesprzeć na nich stopę... Życie wyrasta tu ze śmierci, z nią się splata i jej ulega, by ponownie zaistnieć w jej nieustępliwych objęciach... Ale choć człowiek zawsze karmił się

śmiercią, nigdy nie posiadał mocy i nieustępliwości właściwej Naturze... Pozbawiony obrony, jaką jest jego technika, zdany na samego siebie, biały człowiek jest wobec przyrody słaby i bezbronny... Jeśli nie umie żyć zgodnie z jej prawami, w końcu musi ulec... Wyspa broniła się więc przed upartym człowiekiem. Ten wciąż jednak wracał... Wyspa wyrzucała go znowu... Walka trwa do dzisiaj. I może właśnie dzięki temu, zachowało się tu od zagłady wiele ginących już na świecie roślin i coraz radszych gatunków zwierząt... Wyspa

stała się dla nich już ostatnim łodem... Bez niej zniknęłyby bezpowrotnie.

Północne wybrzeża wyspy smagane są nord-westowymi sztormami. To tutaj, na skałach tego wybrzeża, przez wieki ginęły żaglowce. Oślepienie mgłą, zwiędzone zdradzieckim prądem, zamęczone beznadziejną walką z wichrem i ogromną falą ulegały potwornej mocy południowego oceanu. Pośród groźnych skał ukrytych jest wiele krętych i głębokich fiordów o spokojnych wodach. To one pozwalały czasem



Takich obozowisk morskich nomadów z plemienia Yamana petne były niegdyś fiordy i wyspy Tierra del Fuego

przetrwac rozbitek... One byty tez kryjowka czyhajacych tu, nie tylko na srebrne floty, piratow...

Przez lornetke usiuję wypatrywac wejścia do tych zatok. Mocno zaparty o stół nawigacyjny, przy każdym uderzeniu potężnej fali o pancerne szyby sterówki okrętu, nie mogę opanowac odruchu zasłaniania twarzy... Rozbijane dziozbem fale gigantycznymi gejzerami walą we wznoszący się ze sześć metrów ponad linią wodną mostek. Syczący grzmot... i przez dobre kilka minut czujemy się jak w łodzi podwodnej... To nie strugi, to prawdziwe wodospady spływają po szybach. Każdemu ciosowi towarzyszy wstrząs jak przy zderzeniu. Nasz tysiactonowy serwisowiec argentyńskiej navy, jakby zatrzymany w miejscu, z drżeniem i wibracją wspina się na kolejne wściekłe wały wody. Nawet, gdy szyb bulajów nie pokrywa już kaskada bryzgów, koloryt obrazu zmienia się niewiele. Z ciemnej zieleni i granatów przechodzi w grafity. Różnią się tonacją, posmużone bielą. Tam, gdzie nieco jaśniej, gdzie smugi szarości, a za to mniej pasm piany, możemy domyślac się chmur... Woda, spływając z szyb, także nie

wyznacza pionu, bo impet uderzenia fali i wiatr rozpędzają strugi we wszystkich kierunkach... Na przekór ryczącej północno-wschodniej nawale, mozolnie przebijamy się ku wyspie. Siła wiatru sięga co najmniej dziesięciu stopni w skali Beauforta. Chwilami w gwałtownych szkwałach przekracza jedynastkę... Właściwie nie ma już granicy między morzem a niebem. Jesteśmy zanurzeni w jakimś innym, prawie jednolitym żywiole, gdzie woda jest wszędzie i porusza się we wszystkich kierunkach, gdzie asfaltowe chmury łączą się i wręcz przenikają z ogromnymi pagórami fal... Jest dzień, ale trudno nawet określić porę doby. Tu, w opancerzonej sterówce okrętu pomocniczego Armada de Republica Argentina, jest sucho i ciepło, ale tam, na pokładzie, wydaje się że nic żywego nie ma prawa przetrwac. Patrząc na to żywe piekło nie mogę powstrzymac myśli o tamtych ludziach, ludziach od masztów i żagli... Przecież nie tak jeszcze dawno temu, na pokładach windjammerów czy kliprów, toczyli tu śmiertelną walkę wręcz z oceanami. Za jedyną pancerz mieli swą przemysłność, wiedzę, doświadczenie i twarde rzemiosło; dobre



statki, odwagę i wolę wytrwania... Tak, to Ci z Conrada... Nieszczęśni posiadacze tajemnej wiedzy morza... Iluż to z nich *pogrążyło się zagadkowo w tajemnicę przeznaczenia rozległą jak świat... Nikt nie wie, jakie były ich myśli, jakie żale w chwili śmierci, z jakimi słowami na ustach umarli. Lecz jest coś pięknego w nagłym przejściu tych serc od najgwałtowniejszej walki i wysiłku, strasliwego hałasu, od rozległej, nieukozonej, wściekłej powierzchni mórz - do wielkiego spokoju głębin, których snu nie*





Atlantyckie wybrzeże, półwysep Mitre - konie są tu jedynym skutecznym środkiem transportu

*zmąciło nic od zarania wieków. Słucham, słucham tego sztormu tak, jak opowieści o przeszkodach, którym stawiała czoła drobna garstka ludzi wśród wielkiej samotności morza; opowieści o sprycie, odwadze - a może o bezsilności... Chyba nigdzie tak, jak na tych wodach, żaglowiec nie... ociera się tak bardzo blisko o strefę ciszy wszechświata, która uwalnia ludzi od powszednich trosk i kłopotów, jak gdyby widnokrąg co ich otacza, był magicznym pierścieniem rzuconym na morze (...) - pierście-*

*niem - (...) którego powab polega na poszerzaniu zasięgu uczuć i na rozbudzeniu spostrzegawczości w stosunku do natury i do ludzi... Więc pewnie właśnie dlatego i dziś idą tędy jachty i żaglowce szkolne. Płyną na nich ludzie, dla których te strony są chyba już ostatnią świątynią natury. Tak jak Saggarmatha... I to przywraca mi wiarę w człowieka...*

Na północno-wschodnich krańcach wyspy głęboko w ład wrzyna się zatoka San Juan de Salvamento. Już sama nazwa wskazuje jej ro-

lę w tutejszym rozdziale historii żeglugi. W 1884 roku komandor Augusto Lassere zbudował tu latarnię morską i stację ratunkową argentyńskiej straży wybrzeża. Ocaliły one życie dziesiątkom żeglarzy - jeżeli zdołali tu dotrzeć z miejsca katastrofy. Tu, dzięki niewielkiej załodze ratowniczej liczyć mogli obok pierwszej pomocy, na ciepłe schronienie, odzież i strawę do czasu, aż zaopatrujący latarnię statek nie zabrał ich do Ushuaia. Jeśli tu dotarli... Iluż więcej, nawet gdy uszli rozszalałym falom, nawet gdy przeszli



Zdradzieckie prądy i potężne wiry niebezpieczne są nawet dla dzisiejszych statków

przez piekło przyboju i sit im starczyło, by wspiąć się na skały, ginęło z zimna, wycieńczenia, głodu, nie mogąc przedrzeć się przez gęszcz i bagna... Tym, co łodzią lub statkiem kierowali się tu od strony morza, tylko słynna latarnia Verne'a, albo palec Boży mogły wskazać drogę do ukrytego wśród poszarpanych skał wejścia do zatoki...

Dziś nie ma Latarni. Mimo iż widziałem mapę, wskazania rada-

ru, w chwili, kiedy wśród przechyłów nasz sternik robi nagły zwrot na burtę i dziobem mierząc wprost w kipiące bielą przyboju wybrzeże, daje całą naprzód na obu maszynach, szczerze mówiąc, zamarłem z przerażenia. Nie wiem, czy to był dreszcz zgrozy, czy wibracje statku spiętego gwałtowną ostrogą turbiny... Byłem przekonany, że to ten straszliwy sztorm odebrał sternikowi

zmysły. Że ma już wszystkiego dosyć i jedyne czego pragnie, to bez względu na skutki skończyć tę piekielną kakofonię ryku fal i wiatru, wstrząsów i kołysań. Widziałem już kiedyś na jachcie, jak długotrwały ciężki atlantycki sztorm i bezpośrednie zagrożenie życia spowodowały głębokie załamanie nerwowe, i w konsekwencji napad samobójczego szału u żeglarsza... I właśnie w chwili, gdy gna-





jacy naprzód okręt, wibrując całym kadłubem, wyprzedzając fale, miał już wpaść na skały - wszystko wokół ucichło - kipiela znikła - i jakby niezrozumiałym, cudownym sposobem znaleźliśmy się na spokojnych wodach wąskiej zatoki. Ze wszystkich stron osłaniały ją skaliste zbocza stromych i wyniosłych wzgórz. Zbity, ciemnozielony busz pokrywał je niemal od razu ponad linią wody. Wolne



Wśród bezludnych zakątków i wysepek Ziemi Ognistej dziś znowu znaleźć można mateczniki fok i lwów morskich - niemal całkowicie wytrzebionych na przełomie stuleci

odeń były tylko ogromne, połupane (pewnie wiatrem), głazy i niewielkie kamieniste plaże. Gęste, splątane zarośla rosły do wysokości kilkuset metrów. Niska zieleń sięgała jeszcze nieco wyżej. Potem tylko szary, goły granit, i srebrzysto-grafitowe chmury, w których toną granie. W dole czarne lustro wody - w nim też płyną chmury... Prawdę rzekłszy, ten pas zieleni jest tu obcy w czarno-szarym świecie - jak ze szkicownika Stwórcy...

Gdy zamarł już łoskot łańcuchów kotwicznych i umilkły maszyny okrętu, do naszych porażonych jeszcze tak niedawnym rykiem morza uszu, wprawdzie dotarła cisza... Potem głosy życia - gadanina ptaków, krzyki i plusk fok, jarmarki pingwinów... Stopniowo, im bliżej do zmierzchu, chmury zaczynały pękać, rzedać; z początku nieśmiało, potem coraz ostrzej zza gór strzeliły czerwone smugi zachodzącego słońca. Tuż przed nocą włączył się kolor! Ten niemal czarno-biały dotąd świat zapalił się całym bogactwem jesieni. Przez krótką chwilę byliśmy świadkami jeśli nie tworzenia, to na pewno malowania świata...

Następnego dnia już przed świtem wodujemy ponton. Dowództwo Armada de Republica Argentina, czyli tutejszego MarWoju,

które umożliwiło nam dotarcie tutaj na pokładach swoich okrętów, (ratując nasze filmy po katastrofie *BAHIA PARAISO*), nie zgadza się na pozostawienie nas na wyspie. Kapitan okrętu dał nam czas do zmroku. Mamy dzień na zdjęcia... Wyruszamy na poszukiwanie Verne'owskiej latarni. Na małej plaży, gdzie postanowiliśmy wylądować, wita nas wylegująca się w barłogu ciężarna słońca morska... Olbrzymie zwierzę z zainteresowaniem spogląda na nasz ponton i... dwunogie stwory. W ogóle nie przejawia lęku. W końcu, gdy wylądowawszy tuż obok, podchodzimy z kamerą i aparatami niemal na odległość wyciągniętej ręki, zwierzę reaguje. Porykując ku nam z wyraźnym zniecierpliwieniem, niezdarnie wpełza do wody, śmiesznie podrzucając swe ogromne cielsko. Nie odpływa zbyt szybko - wyraźnie patrzy nam na ręce! Nas przepłaska jednak szybko przeogromny smród jej legowiska. Słońca żegna nas niechętnym fukaniem prawowitego gospodarza tego uroczyska.

Sto kilka lat temu nie byłaby pewnie taka odważna. Ale wówczas gospodarzyły w zatoce San Juan de Salvamento znacznie mniej sympatyczne i zabawne postacie...

**cdn**

Fot. Andrzej Radomiński